

Dylematy i rozterki pierwszego sekretarza

Co kryje się za twierdzeniem, że ze względu na zewnętrzne uwarunkowania stan wojenny był konieczny a gen. Jaruzelski nie miał po prostu innego wyboru?



Co kryje się za twierdzeniem, że ze względu na zewnętrzne uwarunkowania stan wojenny był konieczny a gen. Jaruzelski nie miał po prostu innego wyboru?

Dwudziesta rocznica wprowadzenia stanu wojennego stała się okazją do wielu wypowiedzi oceniających to wydarzenie oraz usiłujących zrekonstruować motywy jego głównego reżysera. obrońcy decyzji generała Jaruzelskiego, zaprezentowali podwójną strategię

argumentacji. Z jednej strony podnosili jego osobiste zalety: dobrą wolę, patriotyzm i poczucie odpowiedzialności, z drugiej zaś przypominali obiektywne uwarunkowania – to, iż sytuacja w roku 1981 była właściwie sytuacją bez wyjścia, a podjęta decyzja czymś koniecznym w tym sensie, że każda inna musiała pociągnąć za sobą znacznie gorsze skutki. Publiczna dyskusja nad stanem wojennym toczyła się głównie wokół dylematów zasugerowanych przez ową strategię, chociaż nietrudno zauważyć, że oba sposoby argumentacji są wyjątkowo zwodnicze. Mają na celu budzenie sympatii do generała, natomiast niczego tak naprawdę nie wyjaśniają.

Nie warto spierać się co do subiektywnych intencji generała. Oczywiście, nikt z nas nie ma dostępu do myśli i sumienia innego człowieka i nie ma prawa podważać gołosłownie uczciwość jego deklaracji. Ale z tego samego względu, nie mamy podstaw kwestionować subiektywnego przekonania Bolesława Bieruta czy innych oprawców czasów stalinowskich, co do ich głęboko patriotycznych pobudek. Oparcie się wyłącznie na deklaracji szlachetnych motywów nie pozwala odróżnić autentycznej odpowiedzialności za kraj od rojeń zdeprawowanego umysłu.

Podobnie dwuznaczne jest odwoływanie się do kategorii mniejszego zła. Dość przypomnieć, że takiego samego argumentu użył kapitan SB Grzegorz Piotrowski tłumacząc swoje motywy zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki. W oparciu o kategorię mniejszego zła łatwo bowiem usprawiedliwić każdy czyn i każdą zbrodnię. Wystarczy tylko wyobrazić sobie, że możliwe jest jeszcze coś gorszego, by dokonać „przewartościowania wartości” i ewidentne zło przedstawić sobie i innym wręcz jako dobro. Za ilustrację przewrotności takiego myślenia niech nam posłuży opowiadanie o wodzu rewolucji: Pograżonemu w

lekturze Leninowi, przeszkadzała hałaśliwa gromadka bawiących się nieopodal dzieciaków. Lenin chwycił więc kij i zaczął nim okładać dzieci. Jakież to szlachetny i dobry człowiek! Mógł zastrzelić a nie zastrzelił!

Co kryje się za twierdzeniem, że ze względu na zewnętrzne uwarunkowania stan wojenny był konieczny a gen. Jaruzelski nie miał po prostu innego wyboru? Właściwy sens owego twierdzenia łatwiej dostrzec w metaforycznym sformułowaniu Adama Michnika: „sytuacja przypominała grecką tragedię, w której wszyscy muszą odegrać do końca swe role a i tak wszystko się źle skończy”. Innymi słowy, generał Jaruzelski – niczym Edyp zabijający własnego ojca – nie jest tak naprawdę odpowiedzialny za żadne zło. To fatum jest faktycznym sprawcą wszystkich nieszczęść, a nasz bohater okazuje się tylko ślepym narzędziem w jego rękach. Stąd płynie sugestia: nie czepiajmy się szczegółów. Po co odsłaniać nowe fakty, drobiazgowo analizować motywy lub co gorsza zaglądać za kulisy? Przecież widownia – jak przystało na antyczną tragedię – ma jedynie podziwiać wewnętrzne piękno głównego bohatera i współprzeżywać jego osobiste rozterki: od samobójczych myśli, po ostateczną determinację i pogodzenie z losem.

Retoryka wypowiedzi usprawiedliwiających postawę gen. Jaruzelskiego odwołuje się niemal w całości do emocji, do naturalnego odruchu współczucia wobec tragicznej postaci rzuconej przez los w sytuację bez wyjścia. Gdyby natomiast w owych głosach pominąć perswazyjno-uczuciową otoczkę i wyłuskać z nich coś na kształt racjonalnej argumentacji, sprowadziłyby się ona do twierdzenia: skoro generał mówi, że chciał dobrze i nie mógł inaczej, to znaczy, że chciał dobrze i nie mógł inaczej.

By opuścić obszar jałowej dyskusji, nie ma potrzeby kwestionować subiektywnego przekonania generała, że chciał dobrze. Wystarczy tylko zapytać konkretnie: czego tak naprawdę chciał, co uważał za dobro a co za zło, jakie były jego faktyczne cele, motywy i dążenia? Odpowiedzi na powyższe pytania można poszukiwać na dwa, uzupełniające się zresztą sposoby.

*

Pierwszą drogą podąża spore grono polskich historyków współczesności. Warto tu wspomnieć zwłaszcza ostatnią książkę Andrzeja Paczkowskiego „Droga do ‘mniejszego zła’. Strategia i taktyka obozu władzy lipiec 1980 – styczeń 1982”, (Wydawnictwo Literackie 2002), znakomicie napisaną analizę wszystkich chyba, dostępnych dokumentów dotyczących stanu świadomości autorów stanu wojennego.

Obraz jaki się w ich świetle rysuje jest jednoznaczny. Od samego początku, zorganizowanie się społeczeństwa w niezależną od PZPR legalną instytucję stanowiło dla komunistycznej władzy ewidentne zło, z którym należało się jak najszybciej rozprawić. To nie podlegało dyskusji, problemem była tylko kwestia czasu i użytych środków. W sierpniu 1980 roku siłowe rozwiązanie uznano za niemożliwe do skutecznego przeprowadzenia. Na posiedzeniu Biura Politycznego w dniu 29 sierpnia, kiedy zapadły rozstrzygające decyzje, Edward Gierek stwierdził: „Może trzeba wybierać mniejsze zło a potem starać się z tego wybrnąć.”[1] W ten sposób precyzyjnie wyraził motywy władzy zmuszonej w obliczu strajku powszechnego do podpisania Porozumień

Sierpniowych, oraz jasno określił cel dalszego działania. Słowa te, które okazały się zresztą politycznym testamentem Gierka (usuniętego ze stanowiska tydzień później), dokładnie wyznaczały horyzont myślenia oraz przyszłe posunięcia jego wiernych następców, Kanii oraz Jaruzelskiego. Skoro uznanie niezależnych organizacji społecznych było czymś złym: „hasłem wroga” niestety chwilowo „zaakceptowanym przez rzesze pracujące”, opracowano podwójną strategię działania, aby z owego zła wybrnąć.

Po pierwsze, podjęto atak propagandowy, prowadzony przede wszystkim przez resort MSW „głównego eksperta partii i władzy ludowej w walce politycznej”. Tak rozumiana „walka polityczna” oznaczała po prostu działalność agenturalną, fałszerstwa i prowokacje. Chodziło o to, by „«wpuszczać przeciwnika w maliny», w sytuacji, które będą stawiać wroga w trudnym lub kompromitującym go położeniu, a zwłaszcza pokazywać, że jest on nieodpowiedzialny, awanturniczy i prowadzi kraj do przepaści.” Przecistawiając sobie różne nurty „Solidarności”, korumpując poszczególnych działaczy, umieszczając we władzach związku swoich agentów a zwłaszcza starając się poprzez zmasowany atak propagandowy pozbawić ruch poparcia społecznego, partia mogła mieć nadzieję, że „uda jej się zrealizować zadanie bez konfrontacji” – tzn. wkomponować niezależny związek w system, czyniąc z jego niezależności zwykłą fasadę.

Po drugie, już w sierpniu 80 roku przystąpiono do przygotowań wprowadzenia stanu wojennego, które w zasadzie ukończono w marcu 1981 r. Jeden spośród trzech branych pod uwagę jego wariantów, uwzględniający największy zakres oporu społeczeństwa zawierał stwierdzenie: „nie wyklucza się pomocy wojsk Układu Warszawskiego”.

Oba scenariusze stanowiły jedną całość. Oczywiście, lepsze i mniej kosztowne dla partii byłoby „niekonfrontacyjne” rozprawienie się z „Solidarnością”. Ale gdyby to się nie powiodło, taktyka jej skłócania, dzielenia i pozbawiania zaplecza i tak była koniecznym warunkiem wstępnym dla rozwiązania siłowego.

O motywach kierownictwa PZPR wiele mówią posunięcia mające na celu wewnętrzną integrację aparatu władzy, np. spacyfikowanie partyjnego ruchu reformatorskiego tzw. „struktur poziomych”, jak również rozbicie inicjatywy Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO. Władza nie tolerowała na dłuższą metę w swoich szeregach ludzi poszukujących autentycznych reform ustrojowych. Podjęła natomiast planowe działania, które miały izolować członków partii, milicji, a zwłaszcza służby bezpieczeństwa i wojska oraz ich rodziny od wpływów zainfekowanego ideami solidarności społeczeństwa. Rozpuszczanie pogłosek o listach proskrypcyjnych, świadomie kreowana atmosfera zagrożenia ze strony rzekomych solidarnościowych bojówek, to wszystko miało kształtować psychikę grupy pretorianów, gotowych bronić socjalizmu jak niepodległości.

5 grudnia 1981 r. na posiedzeniu Biura Politycznego gen. Jaruzelski stwierdził: „Jest to potworna, makabryczna kompromitacja dla partii, że po 36 latach sprawowania władzy trzeba jej bronić siłą milicyjną. Ale przed nami nie ma już nic. Trzeba być przygotowanym do podjęcia decyzji, która pozwoli uratować to, co podstawowe.” Etap „walki politycznej” zakończył się. Przystąpiono do zbrojnego ratowania podstaw. Wypowiedziano otwartą wojnę społeczeństwu, by zapobiec – jak to wówczas głośzono – wojnie domowej, choć ową wojnę władza prowadziła w „politycznej” i „niekonfrontacyjnej” formie już od

Sierpnia 80 roku, a teraz po prostu otwarcie sięgnęła za broń. Dopiero po roku 1989, głównym złem, któremu miał zapobiec stan wojenny, okazała się nagle w deklaracjach jego autorów już nie wojna domowa, lecz interwencja sowiecka.

W zachowanych dokumentach nie odnajdziemy najmniejszej wskazówki sugerującej, by Kania, Jaruzelski czy też ktokolwiek z liczących się członków aparatu władzy poszukiwał rozwiązań, które mogłyby w istniejących realiach geopolitycznych doprowadzić do jakiegoś względnie trwałego modus vivendi, opartego na uznaniu niezależności powstałych organizacji społecznych. Tym bardziej trudno przypuszczać, by jakieś materiały, świadczące o tym, że ówczesnym przywódcom PRL-u chodziło o coś więcej niż ratowanie komunistycznego systemu i własnej w nim pozycji, mogły jeszcze się pojawić. Ich dzisiejsze deklaracje, skonfrontowane z materiałem historycznym, jawią się jako wymyślone ex post próby racjonalizacji i samousprawiedliwienia. Gdyby faktycznie istniały jakiegokolwiek dokumenty ukazujące ich w lepszym świetle, oni sami już dawno zatroszczyliby się o to, by stały się one publicznie znane.

*

Dyskusję nad motywami wprowadzenia stanu wojennego należy uzupełnić o jeszcze jedną perspektywę. Historycy tworzą swoje hipotezy niejako „od dołu”, zbierają dokumenty, świadectwa i w oparciu o nie próbują w sposób „indukcyjny” zrekonstruować zamysły i cele głównych aktorów owych wydarzeń. Istnieje jednak możliwość

spojrzenia „od góry” – fenomenologiczna droga wglądu w hierarchię wartości i sposób myślenia, które określały horyzont decyzji ówczesnej władzy.

W takiej perspektywie sprawą kluczową jest uwzględnienie tego, co znalazło się na marginesie debaty: oczywistego faktu, iż PRL stanowiła część systemu komunistycznego, a jej przywódcy, z pierwszym sekretarzem PZPR na czele, byli przede wszystkim funkcjonariuszami owego systemu. Trudno się dziwić, że gen. Jaruzelski i jego współtowarzysze próbują za wszelką cenę swój związek z systemem sowieckim przemilczeć lub przynajmniej zminimalizować. Ale także i w ich wypowiedziach wątek uwikłania w system nieustannie powraca. Wciąż podkreślana teza, że generał musiał zrobić to, co zrobił, jest tego znakomitym przykładem. Faktycznie, gdy ktoś wkracza na drogę kariery partyjnej i marzy o funkcji pierwszego sekretarza partii komunistycznej, ten musi dostosować się do jej wewnętrznej logiki. Sam nakłada na siebie więzy konieczności, które odtąd będą wyznaczały horyzont jego myślenia i działania. W ten sposób sam oddaje się w ręce fatum. Wybiera drogę, na której byt partyjnego funkcjonariusza określa i determinuje jego świadomość.

Jaki jest istota sposobu myślenia funkcjonariusza partii komunistycznej, jaka logika rządzącego nim fatum? Oparta jest ona na prostej zasadzie: trzeba wiedzieć, gdzie znajduje się ośrodek władzy, oraz akceptować wyznaczone przezeń kierunki działań jak swoje własne. Przekładając tę zasadę na konkret, możemy zrekonstruować najważniejsze cele i motywy Pierwszego Sekretarza (przedstawionego tutaj jako pewien typ idealny) a tym samym lepiej zrozumieć jego najgłębsze rozterki. Takie spojrzenie pozwala nam pominąć

osobowościowe cechy gen. Jaruzelskiego, dotyczy bowiem obiektywnych uwarunkowań, które musiała uwzględniać każda osoba pełniąca podobną funkcję.

Przede wszystkim, Pierwszy Sekretarz nie był suwerennym przywódcą suwerennego państwa, lecz – jako funkcjonariusz systemu – wykonawcą generalnych zaleceń Moskiewskiej centrali. Wielkim uproszczeniem jest branie pod uwagę wyłącznie lokalnego kontekstu podejmowanych decyzji. Choć z takiej perspektywy stanowisko Pierwszego Sekretarza mogło wydawać się najwyższe i w najważniejszych kwestiach decydujące, to z punktu widzenia Moskwy, był on tylko zarządcą jednej z wielu prowincji imperium, który wprawdzie za zgodą swoich zwierzchników posiadał spory zakres wewnętrznej swobody, ale jednocześnie mógł zostać natychmiast odwołany, gdyby nie realizował w należyty sposób nadrzędnych celów komunistycznego systemu. Wszyscy zainteresowani dobrze wiedzieli, że „tej funkcji nie można pełnić bez zaufania sojuszników”. Innymi, słowy strategiczne cele Moskwy były dla wszystkich komunistycznych funkcjonariuszy – a zwłaszcza I Sekretarza – również ich własnym celem, fundamentalnym dobrem i jednocześnie zadaniem do wykonania, którego nikt, kto projektował swoje życie w ramach partyjnej kariery i chciał pozostać na kluczowym stanowisku, nie miał prawa nigdy zakwestionować.

Zasadniczy cel Moskwy w odniesieniu do sytuacji w Polsce w latach 1980-81 można precyzyjnie określić. Nie zmieniał się on zresztą od lat i pozostawał taki sam jak w roku 1956 w Polsce i na Węgrzech, czy w 1968 w Czechosłowacji: wszelkie niezależne od komunistycznej władzy ośrodki życia społecznego muszą zostać spacyfikowane. Jeśli chodzi o ośrodki mające być w tym celu użyte, preferencje Moskwy, które

wynikały ze zwykłej pragmatyki i ekonomii działania, również nie podlegały wątpliwości: należy to zrobić siłami wewnętrznymi, najlepiej środkami „politycznymi” a jeśli się nie uda, to z użyciem lokalnego aparatu przemocy. Takie właśnie rozwiązanie problemu „Solidarności” było z perspektywy centrum światowego komunizmu rozwiązaniem optymalnym. Inne rozwiązania, a zwłaszcza bezpośrednia interwencja wojsk Układu Warszawskiego, ze względu na wielorakie aspekty sytuacji międzynarodowej, jawiły się jako o wiele bardziej kosztowne, a więc niepożądane.

Niektóre dokumenty zdają się wskazywać, że przywódcy sowieccy zdecydowanie wykluczali bezpośrednią interwencję wojskową. Takie deklaracje należy jednak właściwie rozumieć. Dowodzenie, na podstawie oświadczeń członków radzieckiego Politbiura, że Rosjanie na pewno by do Polski nie weszli, jest cokolwiek naiwne. Należy raczej przyjąć jako rzecz niemal pewną, że gdyby sytuacja w Polsce ostatecznie wymykała się komunistom z rąk, Moskwa – tak jak to bywało wcześniej w innych krajach – nie zawahałaby się ani chwili. Jasno wyrażana niechęć co do interwencji była natomiast wyraźnym rozkazem skierowanym do przywódców PZPR: macie to załatwić własnymi rękami i zorganizować całą operację tak, abyśmy nic po was nie musieli naprawiać. Kryła się w tym jednocześnie groźba: jeśli coś pójdzie nie tak i będziemy musieli wkroczyć, to wkroczymy bez względu na koszty, ale was towarzysze, jako fuszerów, którzy nie potrafili należycie wykonać roboty i obciążyli nas dodatkowymi kosztami, przy nowym rozdaniu u władzy już nie pozostawimy i surowo ukarzymy. Tak więc interwencja sojuszników jawiła się bez wątpienia jako najgorsze rozwiązanie dla każdego Pierwszego Sekretarza i jego najbliższych współpracowników, i nie bez racji mogła budzić w nich autentyczną trwogę.

Znając cele określone przez centralę kierownictwo PZPR przystąpiło do realizacji postawionego zadania. Zadanie nie było łatwe. Znalazłszy się między młotem zniecierpliwionych przywódców bratnich partii, a kowadłem samoorganizującego się społeczeństwa, które nie tylko że nie dawało się „politycznie” spacyfikować, ale poszerzało przestrzeń niezależną od partii o coraz to nowe obszary, przywódcy PRL-u coraz bardziej uświadamiali sobie, że jedynym sposobem, który pozwoli im przetrwać u władzy, jest skutecznie przeprowadzone rozwiązanie siłowe. Ale właśnie takie rozwiązanie stanowiło prawdziwe źródło rozterek Pierwszego Sekretarza. Nawet najlepsze przygotowanie operacji w oparciu o plany zaakceptowane i pochwalone przez towarzyszy radzieckich, nawet wybór najbardziej sprzyjającego momentu nie gwarantowało powodzenia, tzn. takiego jej przebiegu, w którym sytuacja nie wymknęłaby się spod kontroli i nie skłoniła sojuszników do interwencji. Zbyt wiele było niewiadomych, niepewne zachowanie społeczeństwa, niepewne, co gorsza, nawet zachowanie kadry oficerskiej wojska – ucieczka pułkownika Kuklińskiego musiała wzbudzić popłoch nie tylko ze względu na ujawnienie planów akcji, ale również na narzucające się pytanie: ilu podobnie myślących oficerów ujawni godzina próby? Dlatego – dopóki się dało – lepsze i bezpieczniejsze było prowadzenie „walki politycznej”, lawirowanie i odsuwanie decyzji w nieokreśloną przyszłość.

Przyjęcie przez kierownictwo PZPR dymisji Pierwszego Sekretarza, uznawanego za mistrza unikania decyzji, było czytelnym sygnałem, że czas lawirowania się skończył. Od nowego przywódcy partii oczekiwano już tylko zdecydowania i skuteczności. Nowy Pierwszy Sekretarz obejmujący stanowisko 18 października 1981 – choć zapewne prywatnie wolałby dalej lawirować jak jego poprzednik – doskonale wiedział, jakie jest teraz jego jedyne zadanie, czego się podejmuje i z

czego będzie rozliczany. Od tej daty wszystkie jego decyzje muszą być interpretowane jako elementy przygotowania do skutecznej realizacji wariantu siłowego. Ponieważ wszystko było od dawna gotowe, pozostały tylko szczegóły: działania maskujące, nasilenie ataku propagandowego, znalezienie odpowiedniego pretekstu oraz takie określenie początku akcji, by do maksimum wykorzystać element zaskoczenia.

Kiedy wczujemy się w sposób myślenia Pierwszego Sekretarza, logiczne i zrozumiałe stają się jego desperackie wysiłki uzyskania od radzieckich towarzyszy zapewnienia, że jeśli pojawią się nieoczekiwane kłopoty, to sojusznicy pospieszą mu z pomocą. Tych próśb wcale nie należy interpretować jako zaproszenia do interwencji, lecz jako rozpaczliwą próbę zabezpieczenia sobie tyłów. Próba była rozpaczliwa, bo ewidentnie naruszała logikę systemu. Oficjalna zgoda Moskwy na udzielenie mu pomocy w sytuacji krytycznej, nadawałaby Pierwszemu Sekretarzowi zupełnie nową pozycję – przyznawałaby mu glejt bezpieczeństwa i zachowanie stanowiska, nawet wtedy, gdyby zawałił robotę. Władze sowieckie oczywiście nie dały się wmanewrować w pułapkę. Odpowiedź: „nie pomożemy”, nie oznaczała wcale: „w żadnym wypadku nie wejdziemy”, lecz: „nie pomożemy tobie. Znaj towarzyszu swoje miejsce w szeregu. Otrzymałeś zadanie do wykonania, to je samodzielnie wykonaj. A jak się okaże, że nie potrafisz, to nie licz na nasze względy”. Logika systemu zadziałała z żelazną konsekwencją.

Przedstawiając powyższą interpretację opartą o wgląd w istotę rozumowania Pierwszego Sekretarza, nie twierdzą bynajmniej, że wyczerpuje ona całe bogactwo wewnętrznych dylematów gen. Jaruzelskiego z 1981 roku. Można jednak sądzić, że swoiste cechy osobowościowe generała, choć dodawały indywidualnego kolorytu

podejmowanym przez niego decyzjom, nie wpływały na ich zasadniczy kierunek. O tym rozstrzygała, nieubłagana logika systemu, w ramach którego gen. Jaruzelski działał i który uznawał za swój – logika myślenia partyjnego funkcjonariusza, zgodnie z którą cele i wymagania formułowane w stolicy światowego komunizmu każdy Pierwszy Sekretarz musiał przyjąć do wiadomości jako zadanie do wykonania

Przypomnijmy to zadanie: należy zniszczyć niezależne od komunistycznej władzy ośrodki życia społecznego, po najmniejszych dla centrali kosztach, a więc przy użyciu lokalnych sił. Patrząc z dystansu – zgodnie z zasadą po owocach ich poznać – można powiedzieć, że gen. Jaruzelski wywiązał się z owego zadania wzorowo! Straty z perspektywy Moskiewskiej centrali okazały się minimalne. Ruch „Solidarności” został zdławiony a koszty operacji poniosła niemal wyłącznie Polska i jej społeczeństwo.

Zastanówmy się na koniec, czy gen. Jaruzelski nie mógł wówczas postąpić inaczej? Nie ulega wątpliwości, że gdyby tylko zechciał wyrwać się z logiki systemu, mógł w każdej chwili uciec w prywatność i zrezygnować z publicznego stanowiska, które wówczas zajmował. To, że mimo wahań tego nie uczynił, jest jego osobistą decyzją i świadomym wyborem, by swoją rolę Pierwszego Sekretarza i Funkcjonariusza Systemu odegrać do końca. Ważniejszy jest jednak inny sens tego pytania. Czy gen. Jaruzelski – ale także Stanisław Kania i inni przywódcy PZPR – pozostając na kierowniczym stanowisku partyjnym, nie mógł w latach 1980-81 myśleć bardziej w kategoriach przywódcy narodu niż Pierwszego Sekretarza? Czy rzeczywiście pętało go fatum i musiał zrobić, to co zrobił? Odpowiedź na to pytanie zostawmy samym zainteresowanym.

Przypomnijmy im jednak kontekst: cud ruchu solidarności – miliony ludzi, którzy wbrew wszelkim fatalizmom, dziejowym koniecznościom i obiektywnym uwarunkowaniom postanowili żyć w wolności i wziąć swój los i los swego kraju we własne ręce. Świadomi istniejących granic próbowali je przesunąć jak najdalej i jak najbardziej poszerzyć przestrzeń twórczej wolności. Pojawiły się setki propozycji społecznych, gospodarczych i politycznych reform kraju. Powszechna świadomość takiej a nie innej sytuacji geopolitycznej powodowała, że owe propozycje były niezwykle odpowiedzialne, ostrożne i ograniczone. Nie kwestionowano sojuszy, nie proponowano natychmiastowych wolnych wyborów, a „monetaryści” przygotowywali projekty reform ekonomicznych opartych na samorządach pracowniczych. Żadna z tych propozycji nie została podjęta. Wszystkie one traktowane były przez kierownictwo PZPR z góry jako podstęp wroga, którego trzeba osaczyć i zniszczyć.

Dwadzieścia lat temu ludzie wolni i odpowiedzialni za siebie i swój kraj, ale bezbronni i świadomie rezygnujący z przemocy, stanęli naprzeciw niewolników fatum, uzbrojonych janczarów pod wodzą Pierwszego Sekretarza – najwyższego rangą niewolnika i sługi systemu. Jak się później okazało, sługi wiernego aż do końca, aż do momentu, kiedy w drugiej połowie lat 80-tych z centrali komunistycznego imperium zaczęły płynąć wyraźne sygnały obwieszczaające jego kres. W tym sensie wolno powiedzieć, że Pierwszy Sekretarz nigdy sam nie wyzwolił się z systemu, który ongiś wybrał jako swoje życiowe przeznaczenie, lecz po prostu został przezeń osierocony. Być może z tego właśnie poczucia osierocenia bierze się melancholia i autentyczny tragizm, które przebijają dzisiaj z jego postaci.

Zbigniew Stawrowski

[1] Wszystkie cytaty pisane kursywą pochodzą z wypowiedzi prominentnych członków aparatu władzy i zostały zaczerpnięte z książki A. Paczkowskiego.

Gość Niedzielny 2.06.2002 (Azymut 6/2002)